

Dźwięk.

Dźwięk wody pionowo spływającej do beczki na deszczówkę, stojącej za ścianą domu.

Odwrócony gejzer strugi uderza do samego dna. Zapamiętałe miotają się małe – na pół dłoni – karasie przyniesione poprzedniego dnia z wędkowania. Kłębią się żółta od pyłku piana, różowe kwiecie jabłoni, zeszłoroczne brunatne liście i wysuszone jabłka z czarnymi plamami zgnilizny wypłukane z rynny pod naporem ulewy; pajęczyna i uwięzione w niej owady – popatrz, błysnęło lepkiem zgięciem skrzydło modliszki!

Burza zrywa i unosi wszystko, co zwiędło, zgaśło i co ledwie się narodziło, jeszcze nie okrzepło, słabo się trzyma; pozostałości czasu minionego i załázky przyszłości.

Rankiem, gdy burza ucichnie, wokół beczki na zgniecionej trawie pozostanie wyżłobienie po przelewającym się przez rant nocnym żywiole: płaty zmierzwionej piany, wymęczone do trupiej przezroczystości kwiecie. Karasie wypłyną białymi brzuskami do góry, śmierć pozbawi je tej jednej namiastki godności, jaką posiadają marne stworzenia – właściwego usadowania w przestrzeni.

A ty, małe dziecko, będziesz stać, czując wciąż ciepło poduszki na poliku. I nikogo i niczego nie będzie ci żal: ani ryb, ani kwiecia, ani strąconych zawiązków, tak jakbyś widział to już dziesiątki razy w różnym czasie i w różnych

miejscach; tak jakby pośród wielu dźwięków ziemi przyjemność sprawiał tylko jeden.

Dźwięk wody pionowo spływającej do beczki na deszczówkę.

\*\*\*

Kiriłł napił się jeszcze trochę wina, zapalił papierosa, zminimalizował plik z rozpoczętym tekstem i odsunął notebooka.

Tak, teraz nikogo nie ma w domu i można palić w środku. Oto ten kąt, gdzie sypiał w dzieciństwie. Jedyne sofę przesunięto. I nie pada deszcz. Lecz jest ta sama pora roku: lato, początek lipca.

Dlaczego właśnie tak zaczął tekst – od wspomnienia burzy?

W dali, na stacji zajęczał pociąg podmiejski – to pewnie już ostatni w kierunku Moskwy... Do rana... Pociąg odjechał, czyli zaraz zostanie zamknięty przejazd.

Kiriłł przypomniał sobie, jak sześć godzin temu stał w kolejce przed tym przejazdem.

Chłodny wieczór, studzony przez rosę na trawie, nabrzmiały kroplami na gorących maskach samochodów. Na lewo stoją domy za szczelnymi płotami, milczące, z pogaszonymi światłami. Na prawo, na nizinie płynie rzeczulka wijąca się w zaroślach sitowia, otoczona łąkami. Właśnie stamtąd, od łąk, dokąd jeszcze nie wypędzano krów – od wiosny grząska ziemia nie zdążyła wyschnąć –

nadciągały kłęby gęstej mgły mieniającej się złudnymi tęczkami w odbłaskach lamp.

Było bezwietrznie. Mgła pochłaniała dźwięki. Nagle we wnętrzu mgły, oświetlając od środka jej chwiejne zasłony, przebił się rozmyty blask, który przeistoczył się w jasno-żółtą, ruchomą kulę światła. Wszyscy kierowcy odwrócili głowy. Z półmgły nadciągało coś równie mistycznie groźnego jak halo wokół słońca – znak nadchodzących wydarzeń, na tyle złowieszczych, że są w stanie wyrwać z niemej materii niewyraźny symbol.

Jedno mgnienie – i straszliwe wrażenie ustąpiło. W gęstej mgle moskiewski pociąg podmiejski przyhamował i cicho toczył się w stronę przejazdu; jasno świecił reflektor czołowy.

Kula światła. To ona po łańcuszku skojarzeń przekierowała myśl Kirilla na wspomnienie nocnego deszczu.

Kula światła. Ten obraz łączy się z babcią Liną. Zamknął oczy, starając się przypomnieć sobie tę dawną burzową noc.

Znów był dzieckiem, znów słyszał, jak poprzez szmer zakłóceń i śpiewne pojękiwania fal radiowych odbiornik obwieszca: „W obwodzie moskiewskim przewidywany jest gwałtowny wiatr z porywami do dwudziestu dwóch – dwudziestu trzech metrów na sekundę”. Tamta burza zbierała się tydzień lub dłużej, męczyła upałem i ospałością. Babcią Linę łamało w kościach, lecz krzątała się i stawiała podpórki pod jabłonie obsypane owocami. Rok był urodzajny, babcia powiedziała, że nie pamięta takiego

zatrzęsienia jabłek, może jedynie przed wojną, w czerwcu czterdziestego pierwszego.

I oto siódmego dnia, gdy już się wydawało, że burza się rozproszy, wyczerpie w zbyt długim wysiłku lub przejdzie bokiem i huknie gdzieś za horyzontem, w radiu podano rankiem komunikat: „W obwodzie moskiewskim przewidywany jest gwałtowny wiatr z porywami do dwudziestu dwóch – dwudziestu trzech metrów na sekundę”.

Kiriłł nie uwierzył w zapowiedź: nieboskłon był wyblakły, ruchy trawy i gałęzi bez życia; i wydawało się, że nawet woda ucichła, osłabła od upału, i ledwo, ledwo płynął leśny strumyk.

Po południu w oddali pokazała się sina ściana chmur. Zauważywszy ją, babcia Lina przerwała obiad – zdarzenie niewyobrażalne, ponieważ była żarliwą zwolenniczką kończenia każdej rozpoczętej czynności, ruchu, gestu, frazy – i pospieszyła do ogrodu, by zabrać narzędzia i rzeczy, a Kiriłłowi nakazała szczelnie zamknąć okna, każdą zasuwę.

Wstąpiło w nią coś, czego Kiriłł wcześniej nie widział. Jakby deptały jej po piętach widma strasznych klęsk: wojen, pożarów, powodzi. Mimo to babcia nie miotała się, zbierała rzeczy oszczędnymi, precyzyjnymi ruchami, i trajektorie jej kroków prowadziły najkrótszą możliwą trasą, tak jakby zawczasu były wyliczone i przećwiczone.

Tak jakby chroniła przed niebezpieczeństwem *swoich bliskich* – starą plandekę, w której noszono siano, a także ławeczkę, na której siadywano, zrywając agrest. Zbłąkany

kot ocierał się o ganek, lecz babcia nie zwracała na niego uwagi – niewidzialna kopuła jej troski obejmowała tylko ludzi i to co *ludzkie*.

Kiriłł przebiegł po pokojach, sprawdził zasuwki w oknach; wyszedł na ganek niezadowolony z alarmistycznej przezorności babci – deszcz to deszcz, czego tu się bać?

Następnie przykrywali inspekty. Dźwigał gładkie kamienie, by przygnieść folię – i pod ich ciężarem stopniowo zaczęła w niego przenikać odczuwalna siła nadchodzącej burzy; gdy pomidory i ogórki zostały już przykryte, Kiriłł wyprostował się – i oniemiał.

Wydzielonego pasma chmur nadciągających z północy już nie było. Samo niebo zmieniało kolor i materialność, jak gdyby arcygroźna, galopująca gangrena pożerała nieboskłon.

Z niej, jak z paszczy węża, wyrwał się fioletowy jęzor, liznął coś za lasem.

Huknął grzmot, aż zatkało uszy.

Leniwie obracający się wiatrowskaz, zrobiony z aluminium w wojskowych zakładach lotniczych – prezent dla dziadka od kolegów z wojska – nagle żwawo zaśpiewał, a jego śmigło zadudniło i zmieniło się w jasny migoczący dysk.

Wiatr delikatnie poruszył ściany. Odskoczyły, brzęknęły, przymocowane gwoździkami szkła. Korony drzew zakołysały się zwartym szykiem. Wiatrowskaz spowolnił, zamarł, niczym kołowrotek spinningu, gdy szczupak rusza przynętę i ucieka.

Zaczął kropić deszcz – kap, kap, kap, kap-kap, kap-kap-kap, kap-kap-kap-kap-kap... Czyste, grube krople hałasowały w listowiu i na dachu. Nic strasznego. Letnia ulewa – może trochę silniejsza niż zwykle.

Gdyby nie ten siny wrzód niebios!

Babcia Lina, narzuciwszy deszczowiec, chodziła po podwórku, zbierała wszystkie blaszane przedmioty – motykę pozostawioną na grządce, łopatę, wiadro na pomyje, patelnię zalaną mydlaną wodą.

Podczas burzy zawsze obawiała się piorunów.

Już dawno prosiła syna, ojca Kirilla, żeby wyciął brzozy rosnące na działce. Wysokie drzewa przyciągają pioruny – powtarzała. I wydawało się, że z jakiegoś powodu myśli, że burzowa elektryka szuka jej i usiłuje ją dopaść.

Traktowano to jak dziwactwo: w końcu każdego przesładują jakieś lęki. A i sama babcia w pogodne dni śmiała się z własnego przestachu. Ale teraz nadciągała burza i Kirill poczuł, że babciny lęk ma jakieś uzasadnienie. Jakby wiedziała, co może się wydarzyć, i sprzątała wszystkie rzeczy zdolne przyciągnąć *lich*, stać się – w dosłownym i przenośnym sensie – jego przewodnikiem.

Deszcz, zmoczywszy trawę i liście, prawie ustał. Wiatrowskaz kręcił się niemrawo.

A niebo stało się szkliste, wygięło się brzuchem do ziemi i wewnątrz gęstniała atramentowa, trująca zawiesina.

Raz – i wiatrowskaz znów zaśpiewał, jak śpiewa kołowrotek spinningu, gdy szczupak połknął błysk i odpływa w głębiny.

Kiriłł instynktownie popatrzył na prowizoryczny piorunochron sterczący powyżej anteny telewizyjnej: okorowany kawałek drewna z metalowym sworzniem na wierzchu i przewodem skierowanym do ziemi. Udzieliło mu się pełne napięcia oczekiwanie babci, poczuł, że ta niezdarna konstrukcja to teraz ich jedyna ochrona.

Zamigotało światło lamp. Z wysokości z rozmachem runęła na dom ściana wody. Od wilgoci momentalnie zaparowały szyby. Z rynien do beczek ruszyły rwące potoki, po oknach chlustało tak, że woda przesiąkała przez szpary w kicie.

Babcia Lina zdejmowała w sieni deszczowiec. Kiriłł wszedł na strych, piętro wyżej od grzmotu.

Światło konwulsyjnie mrugało. Niebieskie pioruny rozpruwały zawiesinę. Wir ulewy obracał listowiem jabłoni.

Nadłamała się gałąź arkada, którą babcia leczyła ze zgorzeliny. Rozdwojona antonówka rozłamała się na pół, osiadła, podskoczyła od uderzenia o ziemię, rozrzucając jabłka w różne strony. Korony ogromnych brzoź miały się na wysokości nieosiągalnej dla wzroku i tylko było widać, jak pod naporem wiatru poruszają się i uginają bardzo grube pnie. Każda z brzoź mogła runąć na dom, zdruzgotać jego cienki, podtrzymywany stropami grzbiet.

Zgasło światło.

Grad. Lodowe grudki, dziwny letni cukier. Uderza, dudni o szyby.

Woda kapie z sufitu, cieknie spod ram – stary dom nie był przygotowany na taką burzę.

Wybiegły myszy, zaczęły wchodzić po schodach na górę; z pewnością zalewa piwnicę; ale ich dużo!

Pierwotny ogień rzuca długie cienie – na pierwszym piętrze babcia zapaliła świeczkę.

Wprawdzie wokół, w sąsiednich domach jest dużo ludzi, lecz on i babcia są sami z wiatrem, mgławicą i deszczem.

Zwykle Kiriłł wyczuwał, że babcia Lina wie, w której części domu on przebywa – trzyma go w polu rozproszonej, lecz wyczulonej uwagi; teraz to pole zniknęło. Babcia Lina chodzi ze świeczką, znowu sprawdza zasuwki. Jej postać odbija się w zaparowanych szybach. Porusza się jak lunatyk.

Uderzenie – rozleciała się szyba w oknie, wybita przez gałęzie jabłoni. Z rąk babci wypadła świeczka, potoczyła się po podłodze, ale nie zgasła. Babcia chwyciła kuchenną tacę, zasłoniła wyłom, tak jakby się spodziewała, że z zewnątrz coś się przedostanie. Kiriłł podniósł świeczkę, nie czując, jak gorący wosk parzy palce, i stanął za jej plecami. W sąsiednim oknie odbijał się płomień świeczki – ale nie wąskim, ostrym językiem, lecz świecącą się tęczową kulą. Babcia wzdrygnęła się – i zaczęła się cofać, trzymając przed sobą tacę niczym tarczę: wystraszona, broniła się przed tą migocącą kulą.

Wiatr wleciał przez rozbite okno i zgasił świeczkę; odbijająca się w oknie kula światła zniknęła.

Babcia Lina osunęła się na podłogę. Kiriłł rzucił się w jej kierunku. Oddech był słaby i cichy, a jednocześnie lekki i czysty, jakby oddychała nie stara, chorująca na astmę kobieta, lecz mała dziewczynka, którą kiedyś była.

Minuta. Druga. Trzecia. Oddech się nie zmieniał.



Kiriłł dostrzegł białą szafkę z domową apteczką; w głowie zakołatało niewyraźne słowo „omdlenie”, a potem ostre, nasyczone wonią, chwackie „amoniak”.

Przyłożył do nosa babci nasączony wodą amoniakalną wacik. Przypomnił sobie, że tym samym roztworem babcia wywabiała stare plamy i polerowała srebrny pierścionek, aby usunąć patynę. Wierzył wówczas w ten płyn jak alchemik; wierzył, że wypędzi z babci to, co w nią wstąpiło i nie pozwalało oddychać pełną piersią. I amoniak nie zawiódł, babcia otworzyła oczy, odsunęła jego rękę z wata, przemówiła słabym głosem: – Wystarczy, tatulku, wystarczy, piecze...

Kiriłł nie zwrócił wówczas uwagi na słowo „tatulku”, które zabrzmiało jak „łapulku” – babcia tak go nazywała, gdy robił coś z przesadnym zapałem, przez gorliwość tracąc wdzięk i dokładność; łapulek. Kiriłł bardzo się ucieszył i nie dostrzegł, że usłyszał „T” zamiast „Ł”.

– Przynies mi, proszę, wody – zwróciła się do niego babcia; jeśli babcia, jak zawsze, jest uprzejma, to znaczy, że całkiem doszła do siebie, ulotnił się jej dziwny strach.

Pomógł jej wstać. Chciał zapytać, dlaczego wystraszyła się świecącego odbicia w oknie, ale przeczuwał, że babcia nie chce pytań.

– Idę spać – oznajmił i pocałował ją w policzek.

– Idź, mój drogi – odpowiedziała czule. – Burza cichnie. Zamknął za sobą drzwi.

Deszcz już nie chlastał, lecz bębnił miarowo drobnymi kroplami; z jego odgłosów ustąpiła wściekłość. Kiriłł był

zmęczony, jakby huragan unosił go w powietrze, rzucał nim o ziemię, rozłamywał, wykręcał i smagał gwałtownymi porywami. Czuł ćmienienie w muskułach. Wówczas dotarło do niego, że przeżył tę burzę razem z jabłonią; walczył myślą i czuciem, podpierał pnie, podtrzymywał gałęzie; zupełnie opadł z sił – zarówno cielesnych, jak i duchowych. Nie ścieląc łóżka, opadł na swoją sofę w kącie i zasnął; woda dźwięcznie padała do beczek na deszczówkę; Kiriłł czuł, jak naprężone są ich metalowe obręcze.

Nie miał żadnych snów – one też wymagają sił; zapadł się w głębi niebytu.

Obudził się tuż przed południem; otworzył oczy i przysłuchiwał się ciału, które stało się puste i nowe, jakby jeszcze nieoswojone.

Gdy wyszedł na ganek, wydało mu się, że wciąż śpi, i dlatego wkroczył w chaotyczny świat, gdzie rzeczy jeszcze nie zdążyły wrócić do stanu jawy, zająć swoich miejsc, ustawić się w odpowiednim porządku.

Wyjście z ganku było zagrodzone gałęziami zwalonej jabłoni. W miejscu koron i pni ziała pustka, jakby jakaś złowieszcza postać zabrała je, przeniosła w inny wymiar, wyciągając tym samym dotychczasowe podpory wzroku, świadomości i pamięci.

Ze złamanych pni wyciekał pieniący się sok, lecz liście już zwiędły; jeszcze wczoraj były pełne życia, a teraz życie z nich uszło – ostatecznie i nagle. Jedyne strącone przez wiatr jabłka błyszcząły w trawie obmyte deszczem.

Przy płocie leżała zwalona topola. Jej liście, choć przerzedzone, pozostały połyskliwe i sprężyste. Wydawało się, że gdyby podnieść topolę, z łatwością wrośnie w swoje poprzednie miejsce. Jabłonie, wyczerpane dojrzewaniem jabłek, zginęły w okamgnieniu, a drzewo nie wydające owoców okazało się bardziej wytrwałe; była w tym jakaś odrażająca prawda o życiu, którą Kirył właśnie poznał.

W ogrodzie wszystko zostało naruszone. Folia inspektów, którą starannie naprawiano i ochraniano, była poszarpana na strzępy. Leżały postręcane porzeczki, śliwki, uchował się jedynie drobny, buńczuczny agrest, który wczepił się w kolczaste gałązki. Grządki były rozmyte, z ziemi sterczały żalosne, dziecięce ciała niewyrośniętych marchewek, rzep, buraków. Pnącza ogórków zostały wbite w błoto; młodziutki – jeszcze wczoraj w srebrzystej błonie narodzin, w delikatnym puszkę – malutki ogórki pływały w brudnych kałużach.

Sąsiedzi nie zdążyli wczoraj zdjąć bielizny ze sznurka. Teraz stara kretonowa sukienka w pąsowe róże wisi na płocie, dziecięce śpioszki bielą się w trawie, niczym świadectwa rozpaczliwej ucieczki: ktoś próbował uciekać w ciemności, a po piętach deptał mu pościg, nocne biesy; zwichrowany ślad tego pościgu wciąż wisiał w powietrzu. Można go było poczuć w nozdrzach.

Dopiero teraz Kirył zauważył, że w obmytym po burzy, czystym jak źródło powietrzu, czuć spaleniznę; nad wsią unosił się dymek dogasającego pożaru.